



BRUNO JASIEŃSKI

Słowo o Jakóbie Szeli

BRUNO JASIEŃSKI

Słowo o Jakóbie Szeli

PRZEDMOWA

Właściwy każdej historjografii kult bohaterów, (wszystko jedno czy bohaterem tym będzie jednostka, czy też zbiorowość), naświetlony klasową koncepcją dziejów, ujawnia gruntowne zmiany w inwentarzu swych posągów: walą się w gruzy piedestały wzniesione przez historjografję narodową, wyrastają na ich miejscu inne.

W historii Polski, pojętej jako historia chłopstwa polskiego, przesuwają się perspektywy z wersalska strzyżonych alej historii oficjalnej, odsłaniając na swych skrzyżowaniach nowy postument bohaterski, który na tle poprzednim wydawał się zwykłym, urągającym symetrii pejzażu kamieniem przydrożnym.

Jest nim pierwszy świadomy bojownik interesów chłopstwa — Jakób Szela.

Niewątpliwie walka chłopstwa polskiego o wyzwolenie z pod jarzma pańszczyzny nie rozpoczęła się od Szeli i nie on ją pierwszy rozpętał. Podczas jednak, gdy prekursorzy jego w tej walce — w rodzaju Chmielnickiego lub Kostki-Napierskiego — rekrutujący się zawsze z zawiedzionych w swych nadziejach awanturników szlacheckich, posługiwali się zgarbionymi barami idei chłopskiej, jako stopniem jedynie do swych osobistych ambicji tronowych, — Szela jest pierwszym i jedynym w dziejach chłopstwa naszego świadomym reprezentantem idei klasowej, wyrosłym z łona samego ludu.

Historja oficjalna, grupując w sposób odpowiadający jej koncepcji narodowej pewne fakty dotyczące Szeli i konsekwentnie przemilczając inne, ulepiła z tego materiału odrażającą postać chłopca-prowokatora, konfidenta rządu zaborczego, zdrajcy interesów narodowych, zawsze niewspółmiernych i częstokroć sprzecznych z interesem klas upośledzonych.

Nie myśląc wcale przeciwstawiać się tej, konsekwentnej w ramach swych zamierzeń, koncepcji negatywnej, usiłowałem stworzyć sobie inny obraz Szeli, drogą bądź grupowania tych samych faktów historycznych po linii interesu klasowego chłopstwa, bądź też drogą czerpania nowych faktów ze źródeł dotychczas przemilczanych.

Źródłami temi są przedewszystkiem wszelkiego rodzaju pamiętniki i zapiski ludzi epoki Szeli współczesnych.

Jeden z potomków wymordowanej w r. 1848 rodziny szlacheckiej, którego trudno tem samem posądzić o stronnictwo w tendencyjnym idealizowaniu postaci chłopskiego prowodyra, Ludwik Dębicki, we wspomnieniach swych z owych czasów w ten sposób charakteryzuje Szelę na podstawie zebranych przez się opowiadań świadków naocznych. (Ludwik Dębicki: *Z dawnych wspomnień* (1846-1848) Kraków 1903. Str. 57-a):

„... Nie był to ich zdaniem pospolity zbrodniarz, nie działał jak inni w stanie opitym, z wściekłością dzikiego zwierza. Trzeźwy i spokojny, miał na ustach słowa Pisma Św.; gdy mordował i pastwił się nad swojemi ofiarami, wtedy jeszcze występował jako moralista i mściciel. Zdawał się być mistykiem i sekciarzem w siermiędze...

„... Po dokonanych mordach miał ten herszt rzezi przemowę do dwóch wdów po Stanisławie i Nikodemie Boguszach, z domu Stojowskich, którym wymordował także synów. Przemawiał, jako wybawca od tyranów, jako wykonawca, rozkazów nie tylko cesarza, lecz Pana Boga...

„... Imię Szeli było hasłem w całej okolicy Brzostku, Pilzna i Jasła...

Zarysowująca się z tych słów postać dyktatora chłopskiego odbiega w znacznej mierze od jego portretu, naszkicowanego przez historię oficjalną na użytek podręczników szkolnych i pobudza do rewizji pewnych faktów historycznych.

Historja oficjalna stwierdza, że w okresie, wyprzedzającym rzeź galicyjską o lat z górą piętnaście, Szela był już popularnym w okolicy orędownikiem i doradcą chłopstwa, reprezentantem i delegatem swej wsi w pertraktacjach z dworem. W roku 1832, aby dowiedzieć się co chłopci winni płacić dworowi, a co nie, — idzie pieszo do Lwowa, do samego namiestnika, co po powrocie odpokutowuje dwumiesięcznym aresztem. W rok jeszcze niespełna przed rzezią organizuje deputację chłopstwa okolicznego do cesarza, do Wiednia, celem ostatecznego wyświeatlenia u źródła sprawy ciężarów pańszczyźnianych, na co obkłada wieś samorządnym podatkiem po dwa cwancygiery od chaty.

Historja oficjalna przyznaje dalej, że hasło do rzezi rzucił Szela na skutek wyraźnej obietnicy, danej mu imieniem cesarza przez starostę tarnowskiego, Breinla. Z chwilą rozprawienia się z panami, chłopci otrzymać mieli na własność uprawianą przez nich ziemię i zostać zwolnieni raz na zawsze od przymusu pańszczyzny. Po trzydniowej jednak rzezi, na skutek interwencji u dworu opjanowanej popłochem szlachty, cesarz, zapominając o swej poprzedniej obietnicy, wydaje dekret, nakazujący chłopom powrót na pańszczyznę. O dalszych losach tego dekretu historia oficjalna zamilcza, ograniczając się do stwierdzenia faktu aresztowania Szeli i odstawienia go do Tarnowa, oraz późniejszego zesłania go na Bukowinę. Zarówno sam fakt aresztowania, jak i późniejsze zesłanie, przedstawione tu zostały jako rodzaj umówionej komedji, zainscenizowanej przez starostę Breinla, celem uspokojenia wzburzonej szlachty, oraz łatwiejszego wynagrodzenia Szeli przez władze austriackie. W nagrodę za wyrządzoną przysługę cesarz obdarowuje go w dożywocie kawałkiem gruntu na dalekiej Bukowinie.

W oświeatleniu niektórych źródeł ówczesnych cały ten drugi akt dramatu galicyjskiego przedstawia się nieco inaczej. I tu punktem kulminacyjnym jest fakt nadejścia niespodziewanego dekretu cesarskiego, nakazującego chłopom powrót na pańszczyznę. Towarzyszy mu jednak drugi fakt, przez historję oficjalną przemilczany, fakt odmówienia przez Szelę wykonania tego rozkazu. Przy odmowie Szeli stanęło murem całe chłopstwo okoliczne, na roboty nie wracając. Równało się to jawnemu buntowi przeciw woli cesarza, przez którego chłopstwo z Szelą na czele uważało się nie bez słuszności za oszukane. Ogromny autorytet Szeli, zwrócony raz przeciw władzy rządowej, stawał się dla niej na przyszłość elementem niebezpiecznym, precedensem do dalszych buntów i nieposłuszeństw. Dlatego, na rozkaz tegoż samego starosty Breinla, Szela został aresztowany i odstawiony do Tarnowa, w następstwie zaś zesłany na dożywotnie osiedlenie na Bukowinę, gdzie „na osłodę” wydzielono oszukanemu dyktatorowi chłopskiemu kawałek gruntu do uprawy.

Z takiego ugrupowania faktów o łatwo stwierdzalnej autentyczności historycznej wynika, że w obliczu interesu klasowego Szela nie był bynajmniej sprzedawczykiem, działającym w imię korzyści osobistych, lecz świadomym i bezinteresownym obrońcą sprawy chłopskiej, głuchej na abstrakcyjną dla niej argumentację dobra ogólnie — narodowego.

Gdyby nawet Szela historyczny nie istniał, to, w interesie o cały świat świadomości klasowej wzbogaconej kultury polskiej, należałoby go wymyślić.

Gdyby Szela istniejący nie był bohaterem, to i wówczas, w imię męczeńskiej epopei krzywdy chłopskiej, należałoby go dźwignąć na wyżyny heroizmu.

Tembardziej, skoro istniał i skoro posiada wszystkie cechy bohaterstwa, obowiązkiem naszym jest go ożywić.

Niechaj i tym razem uczyni to poezja, od wieków do tego powołana.

W białe noce, od rżysk i gumien,
porośniętych i mchem i mgłą,
pozbierałem tę pieśń, jak umiem
i przynoszę skrwawioną i złą.

Rozhuśtała już jesień tysiącem batut
krzywe wierzbry nad stawem w takt żabich gam.
Na ostatni fałszywy czerwienny atut
dzisiaj w durnia ze śmiercią gram.

Może jutro już przejdzie traktor
po tych polach jak łaty płacht,
przyjdzie zmierzch — czarnobrody faktor —
weźmie ziemię w swój czarny pacht.

I na dziesięć mil wkrag, czy na sto,
kędy łań się pod sierpem kładł,
wstanie wielkie kamienne miasto,
nieprzejrany, sześcienny sad.

I gdy znowu się noc rozgwiezdni
w białej mszy księżycowych plam,
będą zwisać nad ścieżką jezdni
ciężkie jabłka łukowych lamp — —

W białe noce, zza kęp ostrężnic,
gdzie chowała się słońca rzyć,
wychodziła ta pieśń na księżyc
godzinami po psiemu wyć.

Przykuciała na polu, za kępą chwastów,
kołysała się, chwiała jak zwiędła nać.
Kiedy rankiem ją spłoszył pastuch,
krople krwi było w brózdach znać.

Raz ta pieśń — zaszła mnie w życie, za łąką,
powaliła, przygniotła, kazała: służ!
i wyrwała mi język jak płony kąkol,
a miast niego wetknęła mi nóż.

Przyszła zimą skostniała, skomlała: milczę!
przypytała się: ogrzej! jęczała: krew!
A w zanadrzu urosła w żarłoczne wilczę,
nakarmiła się sercem, sięgnęła trzew — —

Kiedyś wiosna otworzy naścieżaj
pestki serc rozłupane przez pół,
zasiądziemy przy jednej wieczerzy,
będzie ziemia, jak jeden stół.

Wstrzyma dzień ten swój pęd, co prze go,
gdy mu krzykną: nie zachodź! stań!
Zniesie każdy, co ma najlepszego,
będzie świat cały — kartą dań.

Na ten dzień krasnolicy i gwarny,
zwiastowany przez grad i szkwał,
zasiądziemy, czerwony i czarny,
zmywać barwy z sztandarów i z ciał.

Na ten dzień — pokłon jutru od dzisiaj —
trzepocącą się we krwi jak karp,
na glinianej przynoszę wam misie
tę złą pieśń — — mój największy skarb!

I

Tańcowała izba, stół,
cztery konie, piąty wół.
Tańcowały krowy z obór,
jak w tancerkach był niedobór.

Tańcowała izba, sień —
Jak ci bida, to się żeń!
Z końmi — wiadra, z ludźmi — konwie,
jeden Bóg ich z których stron wie.

Tańcowały skrzypce, bas,
biała droga w czarny las.
Wyrzucała nogi-wierzby
na gościńcu, bo i gdzieżby?

Tańcowała izba, wieś —
Jak ci bida — mam cię gdzieś!
Padał deszcz. Płakał deszcz.
Umorusał szybki.
Zawodziły, labidziły
w ciasnej izbie skrzypki:

A cóż ci to, Maryś, co ci,
że ci w oczkach się markoci,
że ci jakoś oczki puchną,
co przemówisz z którą druhną?

A czy cię kto, Maryś, urzekł,
czy żałujesz swoich nóżek,
że nie tańczysz tak, jak drudzy?
Przecie twój dziś ślub, nie cudzy.

Padał deszcz. Płakał deszcz.
Szumiał wiatr pod lasem.
Dziwował się krępy bas,
pomrukiwał basem:

A czyś ty, Maryna,
miała oczy w bielmach,
że ci się spodobał
ten smarzowski stelmach?

A gdzieś ty, Maryna,
miała oczy, powiedz,
że ci się uwidział
na młodego wdowiec?

A czy ci, Maryna,
a czy ci to warto?
Pochował już żony trzy,
pochowa i czwartą.

Wdowiec — mruk, będzie tłukł,
o tem każdy parch wie — —
Złakomiłaś ty się, Maryś,
na ten zagon marchwi.

Maryna, Maryna,
czy ci to nie lubo,
że ci gram w taki kram,
że ci ggram tak grrrubo.

Padał deszcz. Płakał deszcz.
Kropłą kroplę startł wnet.
Podrygiwał, podmigiwał
usmarkany klarnet:

Weź se, Maryś, czeppek nasadź,
jak nie chciałaś gęsi pasać,
jak nie chciałaś statków myć —
idźże zamąż, idźże, idź!

Taki baran, jaka owca —
chciałaś wdowca, idź za wdowca.
Taki ogier, jaka klacz —
wprzódys chciała — teraz płacz!

Przywiózł Szela wódki z miasta,
roków miałaś pół-piętnasta.
Radził wujek, radził ksiądz:
nie idź zamąż, jeszcześ brzdąc.

Czemuś mu nie rzekła, Maryś:
Idźże, Szela, dla mnie staryś.
Roków masz trzydzieści pięć,
innym pannom głowy kręć.

Padał deszcz. Płakał deszcz.
W brózdach lśnił jak lakier.
Tańcowała cała wieś —
czapki strzech — na bakier.

Grajże, Jasek, grajże, Berek!
Naści wódki półkwaterek!
Naści wódki całą kwartę
na wesele, na to czwarte!

Idźże, Maryś, tańczyć, idźże!
Już mi dziś cię nikt nie wydrze,

już nie ujdiesz, jakbyś w dno wrósł,
już nas związał księży powróż.

Stoją wierzby kole szczelin,
przyszły patrzeć na ślub szelin.
Idź je, Maryś, do dom prosić,
jadła-picia będzie dosić.

A musiałeś ty, Maryś,
jakiś zadać czar mi,
że się niczem już, jak tobą,
głód mój nie nakarmi.

A musiałś ty mi zadać
jakiś zradny napój,
że mię pali, choć go stamtąd
nożem powydrapuj.

A musiałeś ty, Maryś,
we mnie wróść jak gałąź,
żem tak osłabł, jakbyś ze mnie
krew wyssała całą-ś.

Ani wyrwę cię już stamtąd,
choćbym trzewia rozciął.
Udławiłem ja się tobą
jak zdradliwą ością.

Ani dom mi dom bez ciebie,
ani wieś mi — nie wieś,
jeno mi się w oczy popatrz
i przez ramię przewieś.

Omotłała mię całego
jakaś dziwna chorość,
że już czasem jak ta ziemia
chciałbym zbożem porość.

Że bym czasem w byle sadzie
chciał być ulem pszczelim,
żeby we mnie pszczoły grały,
nie ten ból mój, szelin.

Snadź dojrzało we mnie cosik,
aż z tej ciąży ścierpłem,
że jak snop się dzisiaj walę
pod twym słodkim sierpem.

Snadź ustało się to we mnie
jak najtęższy rosół.
Weźże, Maryś, go pokosztuj,
jedną łzę go osól.

Oj, ustało coś się we mnie,
kutym, starym łotrze,

coś od soku z malin gęstsze
i od miodu słodsze.

Zamuliła mnie jak kozuch
jakaś dziwna dobroć,
by się do niej twoim ustom
łatwiej było dobrać.

Weźże mi się nad nią nachyl,
ile zechcesz — upij,
a tę resztę choć rozpryskaj
dla swawoli głupiej.

Jeno wprzód mi tej słodyczy
miarką ust twych namierz — —
Żółty kłos mi z serca wyrósł,
ty go, głupia, złamiesz.

Tańcowała izba, sień
cztery noce, piąty dzień.
Strumień wódki rowem pociekł,
zatańcował w gnieździe bociek.

Tańcowali, poszli spać.
Wyszedł księżyc, nie mógł wstać.
Jak żydowska lśnił się maca,
wszystkie cienie poprzewracał.

Tłukł się niebem wszecz i wzdłuż,
nie mógł trafić ani rusz.
Po kościelnym dachu biegał,
wpadł na wieżę, rozbił zegar.

Aż go w krzakach zgryźli psi.
Było wrzasku w całej wsi.

A i głupiżeś ty, Szela, głupi!
A i herny z ciebie, Szela, mąż.
Pół jarmarku-s swojej Maryś skupił,
teraz z bidą koniec z końcem wiąże.

A i dziwnyżeś ty, Szela, dziwny!
A i gdzieś ty taki, Szela, rósł?
Za spojrzenie tych jej oczu piwnych
całe miasto byś jej do dom zwiózł.

Choć jak jabłoń, choć jak jabłoń obrodź, —
że cię garścią, że cię garścią rwią, —
nie przemogła jeszcze nigdy dobroć
babiej chuci nie wybitej z krwią.

A i kiedyż ty się, Szela, dowiesz,
jak nie widzisz, choć na oczyś zdrów,

po co chodzi twoja Maryś w owies
z smagłym Wickiem, co go masz do krów?

A i spytalibyś się tego siana
i tych snopków, co je zważył szron,
ile razy z nich schodziła zgrzana
twoja Maryś cała w żdźbłach i on — —

U karasia kare skrzela,
u szczupaka — siwe.
Nie udało ci się, Szela,
to kochanie kcliwe.

Na stodole — wrota z kłódką.
Miękkie siano pachnie słodko.
Na stodole snopek mężyn
mięcej drga od pańskich sprężyn.

«Weź mię, Wicuś, sobą przykryj.
«Lepszy dzień od nocy przykrej.
«Taka mdli mię straszna lubość,
«jeno pójdz mię sobą ubość.

— Daj mi, Maryś, daj mi zbliśka
— twoich piersi kretowiska.
— Jak dwie skiby twoja kibić,
— dajże mi się pługiem wskibić.

Czy to słońce zaszło chmurą,
jak za drzewo dzieciół,
że tę jasność ode słońca
taki czarny cień ciął?

Oj, nie obłok to, nie chmura
nagłym deszczem szumna, —
to ci stoi Jakób Szela
na środku gumna.

Jak uderzył Szela raz,
przyklął Wicuś, zgiął się w pas.

Jak uderzył Szela drugi —
poszły nosem krwi dwie strugi.

Jak uderzył w skroń, nad brwią,
przysiadł Wicuś, charknął krwią.

Jak uderzył czwarty sprostą,
upadł Wicuś, tak już został.

Otarł Szela krwawy farsz:
— Ty mi, tłuku, do dom marsz!

Zamknął w izbie na trzy spusty,
wyszedł w pola mdły i pusty.

Kończył dzwonić dzwon i pierzchł.
Wyszedł w pole siwy zmierzch.

W kierpcach krasych szedł jak hucuł,
mrok po polach garścią rzucał.

Wstał na niebie wąski sierp.

Jakeś głupi — teraz cierp!

Jak chowali przy niedzieli
szelinego Wicka,
żałowała ci go cała
ludność katolicka.

Cała ludność wychodziła
choć przed próg, na ganek,
jeno szelin nikt nie wyjrzał
z izby, zza firanek.

A i poco ci to było
miód kraść z cudzych uli?
Już cię teraz jedna ziemia
do swych ust przytuli.

A i poco ci to było
służyć cudzym żonom?
Nie pomierzwiłby cię był tak
nawet sam ekonom.

A i gdzież ta twoja Maryś,
co ją wziął tak smęt aż,
że nie wyszła dzisiaj nawet
odwieść cię na cmentarz.

Że se jedziesz sam jak palec,
jakby jaki panic.
Zagubiłeś ty się, Wicuś,
zagubiłeś za nic.

2

Rozwiczrzonych nad polem grzyw dym
kapie deszczu wymieniem koziem.
Gorzki smak przypalanej krzywdy
ma brunatny twych grud czarnoziem.

Oblepiły cię macki jemiół,
kędy krztę twego soku znajdą.
Wykarmlabyś wszystkich ich, Ziemio,
swojej skiby razową pajdą.

Ale wagi bezsilnie drgają,
gdy pomiesza kto wiecznych miar cel.
Zawisł dwór — szklanooki pająk —
w pajęczynie twych pól i parcel.

Roni ziemia łzy czarne ożyn,
płacze świerszczów lamentem zza grud —
Zamotały się w nitkach drożyn
wątłe muchy wieśniaczych zagród.

Przyjdzie sierp i po słomie zgrzytnie,
trysłe soki się w ściernie zsoplą.
Zachłysnęły się kłosy żytnie
swego ziarna złocistą kropłą.

Znów na ściernisk łysiny płowe
wyłaż z pługiem i zagon kop z kim.
Złoży snop umęczoną swą głowę
na ramieniu, na parcie chłopskim.

Latem ciało obiera męką,
parzy stóp natarczywy dotyk.
Pręży pole swą ranę miękką,
drelowaną palcami motyk.

Cisza lubin otrząsa z łupin
i w jelitach cię, Ziemio, boli.
Nadwarzyło się w faskach chałupin
kwaśne mleko twej melancholji.

Nocą w ludziach się wieczność spala.
Coś ich ciągnie w dalekość mglistą.
Na księżycu siadł djabeł Srała,
spuszcza haczyk na nitce z glistą.

Cienka nić gdzieś głęboko wadzi,
choć zębami ją chwyc i wypruj —
Każdy z nas w swego wnętrza kadzi
nosi śliskich, błyszczących ryb rój.

Księżyc gnojem od obór śmierdzi.
Drzemią konie, swój trakt zmierzyszy.
Siwym lasem, zza krat haberdzi,
wstaje świt, z każdym dniem nieżywszy.

Pełnie dzień z każdym dzień osłabiej.
Prędkoż mrok znów i kres nasz bliskoż?
Na mieniącej się wędce djablej
w męce skręca się serca piskorz.

Oj, nima to chłopu,
nima, jak pańszczyzna, —
żyje sobie wesół,
drugim się nie przyzna.

Oj nima to, nima,
a i weź mu zrób co —
zwozi zboże panu,
ani dba o kupca.

U dworskiego chłopu
krew w dziewuchach wrząca,
co napocznie dziedzic,
to dokończy rządca.

Chłopu Pan Bóg darzy,
nie narzeka na nic —
tatuś byli chamy,
syn co drugi — panicz.

Na przednówku w karczmie
stoi wóz bez later —
chłop jak piórko letki,
sam go nosi wiater.

Na przednówku w karczmie
nie borgują sznapsa.
Pan co z stołu nie zje,
to zostawi dla psa.

Leci pies przez owies,
chłop go zmani: naści!
urznie psu ogona,
kapustę omaści.

Latała, krzyczała
siwa gęś nad wodą:
Nie zmawiajta się po karczmach,
idźta, chłopcy, do dom!

Trzepotał, klekotał
kary kur na grzędzie:
Nie zmawiajta wy się, chłopcy,
nic z tego nie będzie!

A ty wódko-ciotko,
pokuśnico czarcia.
nie namawiaj ty ich na złe
za tę miskę żarcia,

A wprzód ty się, wódko,
w pańskich kadziach zaśmierdź.
Jak ich zajdzie pan ekonom,
pozabija na śmierć.

Nie słuchały chłopcy
babiej rady zdrowej.
Mówił w karczmie kamienickiej
Kuba z Gorzejowy:

«A i cóż ty, słonko,
jakoś nisko zwisasz?
Oj, zapomniał musi o nas
nasz wiedeński cysarz!

«A czy zdjąć cię, słonko,
czyli wesprzeć namże-ć?
Już nam widać wszystkim chłopom
przyjdzie teraz zamrzeć.

«Ni o krzywdzie naszej
nikt mu nie opowie,
chyba Jasny Pan Namiestnik
na wysokim Lwowie.

«Pan Namiestnik lwowski
panom bardzo nie rad,
jeno myśli, jakby z chłopca
zrzucić pański kierat.

«Chłopskim żalom ucha
zawždy jako żyw da,
niech się tylko zwie, że chłopom
gdzie u pana krzywda.

«Jak mu skądsić wioska
pismo-skargę prześle,
zaraz czyta ją siedzący
na złocistem krześle.

«Jeno teraz pocztą
chłopskie listy giną.
Trzaby chłopca umyślnego
wysłać całą gminą.

«Nazbierali krzywdy my,
jak tych ziarn do siejby —
Niech choć wyda taki befel,
żeby chłopom lżejby.

Poskrobali chłopcy brody.
Spadła cisza kropłą wody.

Kogo w drogę lichy pcha
za sto stajań i o ha!

Oj, niejeden marnie zmarł już,
z kim miał złość pan mandatarjusz.

Lepszy w izbie głodny wikt — —
Była cisza. Nie wstał nikt.

jak się kubek ciszy przełał,
wstał z pod ściany Jakób Szela.

Zwalił z ramion słowo-sąg.
Poszły pręgi w kręgi wkrąg,

«Cóż się, chłopcy, garbić w czworo?
Coś żadnemu w świat niesporo.

«Lepiej łajno ssij i pość,
Niż masz panu iść na złość.

«Czas wziąć samym z obór klucze —
pańskie oko konia tłucze!

«Pod siekierą mrący las
w biegu w ziemię wrósł po pas.

«Choć się w pocie pław jak karaś,
ale panu się nie naraż —

«Z roku na rok zboże płodź:
panu ziarno, chłopu — kłóć.

«Dość już chyłkiem błon wypasam —
Nie chce żaden — pójdę ja sam!

«Jedna droga ze wsi w świat,
nogi drogą ćmią od lat.

Wyl w nim żal, że ręce gryzłby.
W czapce na brwi szedł do izby.

Astrem w niebie księżyc kwitł — —
Jak wychodził — był już świt.

Oj, ty, drogo, nieschodzona, daleka!
Oj, ty, drogo, nieschodzona, niebliska!
Cztery wierzby i olszyna-kaleka,
i na plecach ciężka nieba walizka.

A przez czyjeż gnasz ty pola, przez czyjeż,
że cię dziedzic ich różgami nie zasiękl?
A i wijesz ty się, drogo, i wijesz
jak litanja robaczywych zdrowasiek.

Nad rzeczulką, cały w brzozech prócz wieży,
póki chłody brzozom liści nie potną,
klepie kościół kijankami pacierzy
chłopską dolę, jak ta szmata wilgotną.

Ni wypłynąć jej, ni na dnie jej nie lec,
sinym ustom nie zamilknąć od gliny — —
Czworgiem ramion macha wiatrak-topielec
ciężkie nieba odgarniając mydliny.

Oj, nie mówił do mnie, drogo, twój smęt nic,
anim pytał się, czy ciężar mój uznasz.
Białym krzyżem umęczonych cierpiętnic
położyłaś ty się, drogo, pod wóz nasz.

Jeszcze ciężej kamieniami go nałóż,
niech mu koła własnym potem oleim!
Mdłemi łzami zieleniących się kałuż
patrzą bródy twoich ślepych kolein.

Już nam krzykiem nie wyśpiewać cię ustnym,
lepiej w ciszy twoim bólem frymarczmy.
Pół-pijanym, ślepym dziadem odpustnym
wolno wleciesz się od karczmy do karczmy.

Słońce, lśniące się to ryńskim, to szóstką,
toczy wiat, pędziwiat, gonikąt — —
Okłamałaś ty mię, drogo, oszustko!
Nie prowadzisz ty, zwodnico, donikąd!

W mieście Lwowie szumnie, tłumnie,
więcej lamp, jak ziaren w gumnie.
Z boków domy jak te cacka,
środkiem droga jak posadzka.

W mieście Lwowie, w białem mieście
w każdym domu okien dwieście,
w każdym oknie jasna pani,
szyta złotem suknia na niej.

W którą stronę okiem strzeli,
każdy dom jak plaster pszczeli:
z góry płaski, zwierzchu gładki,
w środku izby jak szufladki.

W mieście Lwowie, ścieżką z mory,
chodzą pany jak indory,
a dziedziczki jak te pawie
nie podnoszą nóżek prawie.

Z ulic naród płynie ciurkiem,
stoi żandarm z kurzem piórkiem —
którzy w takt nie chodzą też tu,
takich bierze do aresztu.

W mieście Lwowie, z ziemi w górę,
rosną drzewa gniado-bure,
jak bocianów rząd przy drodze
stoją śpiąc na jednej nodze.

Na nich liście jak ornament,
rośnie na nich kamień-djament,
popod każdym stoi strażnik —
urwać z nich — ani się waży nikt.

W mieście Lwowie księży wiele,
stoi kościół przy kościele.
Po kościołach suma codzień,
aż się pstrzy od złotych odzień.

Do kościoła, skwar czy zima,
człek biedniejszy wstępu nima.
Jedzie państwo sznurem karet,
jak królowie do Nazareth.

Pod kościołem, nikiej na wsi,
siedzą dziady jeszcze ławsi,
z szmat im żebro łśni na żebrze,
każdy siedzi, każdy żebrze.

Komu bida — do nich należ.
Przejdzie pani — rzuci halerz.
Przejdzie financ, co się upaś —
komu areszt, komu ciupas.

W mieście Lwowie domy różne,
zwierzchu szklanne, w środku próżne,
z pod nich wędlin całe mendle,
jak z pod kloszów patrzą zwiędle.

Stoją ludzie ciency w pasie,
każdy zajrzeć przez szkło pcha się,
każdy stoi, ślinę łyka,
aż mu szczurem skacze grdyka.

Tam, gdzie jadeł całe kopska,
chodzi nocą nędza chłopska,
puka w cegłę, jaki ton da,
w pańskich szybach się przegląda.

Świtem-rankiem z wszystkich fabryk
buchnie zgiełk jak setek bab ryk,
aż przez domy przejdzie mrowie
w białem mieście, w mieście Lwowie.

Dnie oskubują drzewa z liści,
bronią się liście, które krzepsze.
Dziwią się lwowscy kanceliści,
co też ten chłopski upór przeprze.

Łatwiej przez ścianę kropli przesiąć,
niżli przed urząd wnijść nie z datkiem.
Cóż to za chłop już trzeci miesiąc
kurz w kancelarjach ściera zadkiem?

Szczęście na głupich chlusta dzbankiem.
Nigdy nie zbadał, jak to jest, nikt.
Natknął się raz na chłopą rankiem
w dusznym urzędzie sam Namiestnik.

Trafisz mu na zły humor — biada-ć!
Trafisz na dobry — pewny sojusz.
Kazał Namiestnik chłopu siadać,
wszystko wysłuchał: jak i co już.

Długo coś prawił, jak w teatrze —
ręka na kłapie: pasterz trzodom.
«Wszystko» — powiada — «sam rozpatrzę.
«Chybaj na pańskie nazad do dom.»

Dowlókl się Szela kundlem do wrót,
stanął, na mury spojrzął: twierdza.
Daleka droga, dalszy powrót
z centem jałmużny w torbie serca.

Jesień już idzie z chmurą niepogód,
wszystkich nas zmiecie smugami strzał.
Na szczycie wieży blaszany kogut
trzy razy skrzydłem trzepocąc piał.

Pogniły zboża, zanim je skwar ściał,
i nocą wilki owyły stóg,
a deszcz spocony wilgotną garścią
mięsił i mięsił ciasto dróg.

Otrute słońca bułką z zakalcem
zdychają zmierzchy pod lament wierzb.
Wychudłym drzewom kościste palce
osypał nocą wróbli świerzb.

Prędko się, serce, z śmiercią pojednasz,
na grzędach duszy wypielesz chwast — —
Do beczki nieba Niebieski Bednarz
nabija nocą gwoździe gwiazd.

Wiecznież się będziem tulać w tej pace
kłębkim skrwawionych ramion i nóg?
Z krwi naszej ciepłej okrągłe mace
wypieka w niebie cadyk-bóg.

Rękom-gałęziom w pień drzewa stężej!
Z wiatrem w huśtawie po nocach trzeszcz!
Zmokłem kropidłem pociechy księżej
zboża nam w polach pognoił deszcz.

Krzywym pacierzom w niebo nie doleźć!
Inne, uczeńsze przyjmij i ziść!
Tylko ta chłopska zawszona boleść
z torbą po prośbie w świat musi iść.

Zamiast po kruchtach skomleć i wołać,
łbem tłuc o ziemię w pokorze psiej,
głębiej tę gruntu nieswoją połać
zęby ścisnąwszy oraj i siej.

Choć się od znoju tysiącem tęcz mień,
potem zapładniaj każdy jej kąt, —
cudzy ci na niej wyrośnie jęczmień,
obcy jak bękart niewiedzieć skąd.

Suce starczyło psów z jednej wsi by,
o tę — pokoleń toczy się targ.
Śpi, rozwalila na słońce skiby
tysiącem czarnych sromowych warg.

Darmo za chłopą dziedzic ją wydał.
Ciężko żyć dalej z jedną we dwóch — —
Trzy wskazujące paluchy wideł
wskazują pański, kosmiczny brzuch.

U rządczyni atlas w skrzyni,
wyżej skrzyń — samodiał.
Wrócił Szela ode Lwowa,
gdzieś się nam zapodział.

Oj, zapodział się, zapodział,
jeno blisko gdzieści —
Siódmy tydzień z pańskich lochów
niema o nim wieści.

Jak przyleciał ode wschodu
jak ten jasny sokół,
kazał pan go bić kijami,
łańcuchami okuł.

Siedzi, siedzi, wiosny czeka.
Dzień już za dniem brzydszy.
Zupę z pomyj jadł na wilję,
na święcone — wszy trzy.

W sadzie drzewa grube,
w bożym lesie grubsze.
Nie wypędzić życia z chłopą,
jak się przy niem uprze.

Za stodołą, w owsie,
siedzi koń na jedli.
Wypuścili Szelę z lochu,
gdzieś go będą wiedli.

Mówił pan do stójki:
«Później zbója stłamszę.

«Wiedźcie mi go na Nowy Rok
«do kościoła, na mszę.

«Trzy dni jeść mu nie dać,
«niech się zrobi bladszy,
«żeby był dla całej wioski
«postrach, jak się patrzy.

To nie pomruk karczmy
opętanej polką —
Rozsadziło kościół ludem,
jak gadzinę kolką.

Nawaliło ścisku,
ani wetknąć dłoń jak.
Aż zapachniał kościół nędzą
cierpką jak amonjak.

Jak wwozili Szelę
wejściem-frontem przednim,
zachybotał cały naród,
rozstał się przed nim.

Na trzy kroki wokół
zmiotł mu przestrzeń wielką,
przygnieciony nagle ciszą
jak olbrzymią belką.

Stanął Szela w progu,
pchnął go Wicek-strażnik.
Sine oko miał pod szmatą,
nie poznał go w twarz nikt.

Jak na Podniesienie
ksiądz niósł w górę kielich,
nie opuścił się na płyty,
na zbutwiałą biel ich.

Jeno nad gromadą
szytywny stał jak fantom
i zadzwonił łańcuchami
w odgłos ministrantom.

Jak go stójka na śmiech
boso wieść przez wieś miał,
ustawiła wieś mu szpaler,
nikt się jakoś nie śmiał.

Jeno z lasu zamieć
wyszła z wiatrem na błóń,
tańcowali w dworskim sadzie,
przewrócili jabłoń.

A jak wieczór księżyc
wzszedł na niebie cichszem,
zapaliła się obora
pode dworskim śpichrzem.

Zasypało studnie,
znikąd wody nawież — —
Trzy dni sadza czarnym śniegiem
z chmur pruszyła na wieś.

U dziedzica nos jak świeca,
koło nosa — krosta.
Nie pozwolił zgubić Szeli
tarnowski starosta.

Nie chciał dziedzic słyszeć-wiedzieć,
dziś — choć łaski proście —
Czwórką koni zjechał traktem
do Smarzowy w goście.

Jak się witał, grzecznie pytał,
przywiózł z miasta zakup.
«A czy jest też u was we wsi
«taki Szela Jakób?

«Pan Namiestnik, co ma ludu
«jak ten kopiec mrówczy,
«kazał mu się nisko kłaniać
«i zapytać: zdrów czy?

Jak puścili Szelę z lochu
i przywiedli przederń,
jakoś bardzo głową kręcił,
a wspominał Wiedeń.

Cięgiem krzyczał po miemiecku
i po polsku cosik,
aż we dworze szyby drżały,
jak te listki osik.

Jak już wsiadał, jeszcze gadał —
wiatr zmiotł parę zgłosek —
«Żeby mi tu temu chłopu
«nie spadł z głowy włoszek!

«Bo wam dwór ten z ziemią zoram
«aż do samych pól den — —
I w kosmatą czapkę Szeli
kapnął srebrny gulden.

A i gdzież ty, Szela, chodzisz
raz na tydzień, raz na dwa?
Czy na jarmark, hań, po odzież?
czy po frykas? czy po drwa?

Nie na targ po śliwki w occie,
jeno musi ważniej gdzieś,
kiedy w karczmie późno w noc cię
czeka nieraz cała wieś.

Od Smarzowy do Tarnowa
jedna droga — tęcza.
Wrosła w mech ta ścieżka płowa,
coś nią chodził wtenczas.

Do Tarnowa droga prosta.
Mówił Szeli Breinl-starosta
«Rok do roku — minus — plus —
chłopskim krzywdom prędko szlus.

«Uradziło panów ...nastu
powyrzynać wszystkich nas tu.
Uzbierali prochu funt, —
na cesarza knują bunt.

«— Cóżże — mówią — nam za cysarz,
jak z nas tylko krew wysysasz?
Siódmą skórę z nasbyś kradł,
jenoś chłopom za pan brat.

«— Miał ich fochy władzą zmóc twą,
szerzysz po wsiach bałamuctwo,
wietrzysz belkę w każdym źdźble:
tu im krzywda, tam im źle — —

«— Co nam dzielić chłopską dań z kim?
Rządźmy Polskę rządem pańskim!
Który chłopom mąci w łbach,
tego drągiem po łbie — bach!

«Mówi cesarz: — Daj pchle grzędę!
Ja się z nimi bił nie będę.
Mają chłopcy do nich złość, —
jest ich na to po wsiach dość.

«— Dosić leli leż jak z rynien.
Jażem krzywdom ich nie winien.
Zrobią tak, by bunt ten scichł —
panom fora, ziemia — ich.

«Z tobą chłopcy idą rzeszą.
Tyś do Lwowa chodził pieszo.
Tobie mówię: tak a tak —
Przyjdzie chwila — daj im znak.

«W waszych rękach teraz los wasz.
Com ci mówił, dobrze rozważ:
Komu ziemia — komu grób.
Co masz robić — idź i rób.

Powstał Szela, zbladł zniecacka.
Mówił: «Rada — rzecz gromadzka.
«Wieś odmierzy w garść jak w ćwierć
komu wola, komu śmierć.

Idźże, Szela, głowę skrobże.
Cożeś słyszał, rozważ dobrze.
Chodzą lasem wilcy trzej.
Myśl domyśleć w lesie lżej.

Nocą cień się chowa za pnie.
Stoją w śniegu pnie jak w wapnie.
Trzeszczy las jak pokrak srok.
Ziemia — niebo — śnieg i krok.

3

Jak wstawalo słońce — mak ten,
co na śniegu rozkwitł —
wyszedł Szela świtem-traktem
do sąsiedzkich wiosk — zwid.

Usiadł w polu buty przezuć,
uszedł dalej jeszcze.
Aż się spotkał z nim Pan Jezus
na smarzowskiej ścieżce.

Jak go poznał Szela na dziw,
skłonił mu się po pas:
«A dokąd też Bóg prowadzi,
«że aż u nas popasł?

To nie słowo miodem tchnie z ust,
jako flet z kapeli,
to skłaniając się Pan Jezus
odpowiada Szeli:

«Mało-wiele drogi-m ubiegł,
choć idę zbliżka.
Odpowiedzcież mi, Jakóbie,
gdzie tu wieś Siedliska.

«Tam, gdzie most się z rzeką mijał,
co pokryła kra ją,
ponoś chłopcy panów biją,
piłami ich krają,

«Już mi w nóżkach drzazg jak os tkwi,
krwawi rana, gwóźdź gdzie,
a tam pono krwi po kostki
w kaździuteńkiej bróździe.

«Jedną drogę Bóg nam zdarzył,
co ją miedzą skracasz —
Powidzcież mi, gospodarzu,
czy tam zdążę na czas.

To nie topól w niebo strzela,
to nie pohuk sowy —
Odpowiada Jakób Szela
Panu Jezusowi:

«Dobrze snadź kto komu krzyw gdzie
wiedzą pańskie posły,
kiedy słuchy o ich krzywdzie
już do nieba doszły.

«A i wielki musi wiater
z tego w niebie pnie gnie,
kiej aż sam Pan Jezus światem
im na pomoc biegnie.

«Nie biegales, jak się naszych
krzywd przelała kwarta!
Widać garnca pańskiej kaszy
chłopska krew nie warta.

«Unieś suknie po kolana,
stąpaj pomalutku,
bo tu naszą krwią polana
każdziuteńka grudka.

«Nie cenileś ty krwi chłopskiej
za złamany szeląg! —
Czemużeś się, Panie Jezu,
tak o pańską przeląkł?

«Co się stać ma, to się stanie,
przyszły raz te dnie choć!
Ale ty, Prześwięty Panie,
dziś tam lepiej nie chodź.

«Poco ci to z chłopską nędzą
w twarz się spotkać twarzą?
Dziś tam z krwi tej, co ją pędzą,
tęgie piwo warzą.

«Nam ta swego raję nie raj, —
z łżyś go zlepił naszej!
Idźże lepiej je pozbieraj
i na kubrak naszymy.

«Białe rączkiś przykrył komżą,
nie splamił-ś ich pracą.
Dzisiaj chłopcy takich wiążą,
tylko gdzie zobaczą.

«Wnet tu spełzną się jak glist rój
skarżyć ci na kij mój.
Idźże, bramę dla nich przystroj
i w swój raj ich przyjmuj.

«Lepiej gwiazdkę za nich zawieś,
«byś się o nich nie bał — —

I zawrócił Szela na wieś,
a Jezus — do nieba.

Na rozstajnych drogach,
kole czterech kopcy,
namawiali się ze sobą
gorzejowscy chłopcy.

Był tam Waluś-pastuch,
w zimie chodził boso,
siekierką się opasywał,
podpierał się kosą.

Jak dojrzały izby
w polu samych brzdący,
podkasały kiecki-ściany
po śniegu lecący.

Przegonił je wiatrak,
w dyrdy biegł przez odlóg,
ruszył w taniec opętaniec,
poszły wióry z podłóg.

Tańcowali cztery dni,
ani więcej, ani mniej.

Tańcowali piątą noc —
runął dwór jak zgniły kloc.

Tańcowali rach-ciach-ciach
i po drogach, i po wsiach.

Tańcowali, gdzie kto mógł.
Tryskał, pryskał śnieg z pod nóg.

Szedł śnieg. Brał mróz.
Biegł zbieg. W mróz wrósł.
Z ust krew — as kier.
Z nad drzew mgła skier.

Tańcowali wtył i wprost,
kto po lodzie, kto przez most.
Od Smarzowy aż do Siedlisk
poszły w tan gałęzie jedlisk.

Tańcowali z chłopem pan
milczkiem-boczkiem koło ścian.
Tańczył rządcą, tańczył dziedzic,
żaden nie chciał w miejscu siedzieć.

Tańcowali zęb o zęb —
z sieni oknem i na kłomb.
Tańcowali z góry na dół,
coraz któryś w tańcu padał.

Tańcowali raz po raz
chłopska kosa, pański pas.
Od ogródka do ogródka
ciekła rowem krew jak wódka.

Tańcowali — z panem pień.
Była noc jak biały dzień.

Gdzie kończyli taniec —
cały dwór był na nic,
brali panów rankiem,
kładli ich przed gankiem.

A wieczorem-zmierzchem
jechał księżyc wierzchem,
w srebrnych był sandałach,
siwy pod nim wałach.

Gdzie za dworem kępa,
zwalniał konia stępa.
Gdzie schlustała krew je,
skręcał z pól — na rewję.

Oj, ty, wolo, rozchełstana, strzelista,
wolo wolna,
wolo polna!

Potoczyłaś ty się, wolo, po polu,
po polepie śniegowej, w noc miałką
kulą śnieżną — ulęgalką.

Rozmagałaś ty się z gręby na grębę,
w cichem polu grającem,
kielbami ozimin — zającem.

Zakręciłaś ty się bąkiem-furkotem,
spuszczonym wiatrem na złość ci
ze szpagatu codzienności.

Rozszumiałaś ty się chlustem-rozpluskciem,
siwym roztopem z tych stron tu
aż na margines horyzontu.

Wyżej stert, co się w drodze nawina,
polem za wąskiem, za pustem,
tańcem — łomotem — zapustem
lawiną!

Och, wolo!

Kielkiem pod redlin i grąbel
w zamróz poważyl cię lęk.

Głód twój w nas wzbierał jak bombel —
wezbrał i pękl!

«Po zielonej komorze
tańczył ogień we dworze,
krzesał iskry obcasem,
pokrzykiwał «hop!» czasem.

«Co tknął piórkiem pułapu,
trzaskał pułap pół na pół.
Co nadłupał go tak tu,
przyśpiewywał do taktu:

«— Ta smarzowska gromada
ratownicy nielada —
ile razy już gasłem,
dogaszały mnie masłem.

«— A ci chłopcy siedliscy,
gaszą ogień aż piszczy,
w rozskrzypieniu kół gorzkim
wożą wodę półkoszkiem.

Dość chciał nam dopiec kopiec i wał —
Hulaj, gromada, wiatrom naschwał!
W polach odpręgaj konie od landar,
żaden nie pośmie bróździć ci żandarm!

Hulaj! wychylaj głowy zza wnęk!
Byli — ubyli, jechał ich sęk!
Hola na pola orki się uczyć,
orać karbowym, rządca nawłóczyć!

Hejże! a nuże! hala! a haj!
Wozy z dobytkiem do zagród pchaj!
Klamki złociste do wsi poznoścież!
Rygle otwarte — ziemia naoścież!

K-r-r-r-r-aj!

Czy to tam od wschodu, zmrok już zapadł?
Czy to kurze pierze sypie z chmur?
Zamajaczył trakt od czarnych kapot,
tupot kopyt i łopot piór.

To nie mrok wypelza z wrzosów wydem.
To nie w kojcu nieba lament psi.
To zstępuje traktem glid za glidem
wojsko cesarskie wdół ku wsi.

Nie mówiły drogi skąd ich wiozły,
wierzbowemi pniami biegły w takt.
Ustawili we wsi gwery w kozły,
sztachetami rzędów spruli trakt.

Poleciała po wsi wieść jak sekret
odrabianą łapą tłuc do bram:
Przysłał cesarz z Wiednia dekret!
Dzielić, co dworskie! Ziemia — nam!

Wyrwał się jeden, piórko — dębem,
papier w zanadru: co i jak.
Załomotał werblem w bęben, w bęben.
Posypała z bębna cisza-mak.

« My, Cesarz na Lodomerji,
Król Austro-Węgry — Bośni — Czech — —
kazujemy chłopom przestać ferji,
wrócić na pańskie do dni trzech.

« Kto się nie posłucha naszego pisma,
dwory zaprzepaści wsiom na żer,
wciągnąć mi go kaprał zaraz w spis ma, —
pójdzie w żołnierze, dźwigać gwer — —

Długo jeszcze bębnił, drwem bił, dudnił,
długo jeszcze słowa na wiatr kładł.
A już po wsi cisza szła jak z studni,
ołowianą chmurą skryła świat.

Jak odeszło ze wsi wojsko —
— wszystko chłopcy ładni —
przepadł Szela niewieść dokąd,
nie było go dwa dni.

Jeno w nocy, o północy,
nim zbudziła wieść cię,
ponoś gadał coś z drzewami
w kamienickim leśsie.

Jak na trzeci dzień powrócił,
zdziebko siwe brwi miał.
Tak się skoblem w sobie zaparł,
jakby wyolbrzymiał.

Na rozstaju, pod figurą,
tam gdzie głów jak makiem —
krąg jak namiot czapką zamiótł,
mówił słowem takim:

Oj, nadarmo ty, wiatraku,
na nas ręką machaj!

Snadź już wieczna dola chłopa
cierpieć pański nahaj.

Snadź ni Pan Bóg mu nie Pan Bóg,
ani cesarz — cesarz.
Nie obetrzeć chustką nieba
już tych naszych łez aż.

Wierzył chłop cesarskiej łasce,
wrósł weń świerkiem smęt ów, —
wziął nas cesarz sprzedał panom
za trzydzieści centów.

Teraz siedzi, z szlachtą pije,
hań, na modrych Węgrzech.
Niech się kiedyś ciężką śmiercią
pomści na nim ten grzech.

Wyszła wieś z swem prawem stawać, —
wyjdźże ty i stań z twem.
Sam ci cesarz ją podmawiał,
jak się pogryzł z państwem.

Cztery dni się godził-zwodził,
piąty stanął na tem,
że tę zgodę w chłopskiej skórce
spiszą oba batem.

Teraz siedzą, wino cedzą,
nowe pakty knują.
Darmo czekać, by sie ktosić
naszej krzywdy ujął!

Dość nas łaska pańska zgła!
Nie oddamy ani źdźbła!
Wprzód cały wioska spłóń!
Nasza pasza, nasza błoń!

Ubił cesarz z państwem targ:
pańskie jarzmo, chłopski kark.
Jakeś ubił — idź i rządź!
Łatwo kupić, trudniej wziąć!

Był cham, giął łeb.
Dziś sam — cap cep!
Z rąk front. Chcesz? — Masz!
Bier gront! Gront — nasz!

Nim odkwitła stokroć
na zielonej darni,
przyjechali zabrać Szele
tarnowscy żandarmi.

Uciekała nocka
po zielonej łące,
jak wkładali mu na rączki
kajdanki dzwoniące.

Jak go prowadzili
wzdłuż tych czarnych sztachet,
wysypała cała wieś,
z płaczem za nim szła het.

Jak go prowadzili
pod ten biały kasztan,
zakapały z nieba gwiazdki,
toczyły się aż tam.

Jak go prowadzili
tamtą kładką giętką,
wyszły ryby na przerębel
łapać ludzi wędką.

W całej rzece wielki
narobiły ruch tem,
jak po lodzie jak te kundle
biegły za nim truchtem.

Jak go wiedli bagnem,
tym, co śmierci dar ma,
wyszli wilcy, zjedli w lesie
jednego żandarma.

A jak z nim mijali
ten uschnięty modrzew,
popędzały go żandarmy,
mówiły mu: chodźże!

«Modrzewiu, modrzewiu,
malowany dziadku,
pilnujże mi tego lasu,
daję ci go w spadku.

«Pilnuj mi go, pilnuj,
jak jaworu powój,
Przyjdzie czas, że twych gałęzi
trza nam będzie znowuj.

«Idźta, chłopcy, do dom,
nie trza stać markotnie.
Przyjdzie wiosna tylko patrzeć,
drzewom pąki potnie.

«Wyjdą w pola dziwki
plewić chwast, rumianek.
Sielne zboże wszędzie latoś,
pańską krwią rumiane.

«Sielisza na cudzem,
ruń nam rosła smętna.

Będziem zbierać chleb na własnem,
każde ziarno — centnar.

«Ciarachy, ciarachy,
nie być z wami zgody!
Prędzaj ogień przyjdzie latem
upić z studni wody.

«Choćbyście zorały
trakt ten, gdzie mój dom stał, —
czarnym kłosem na tej ziemi
wzrośnie na was pomsta.

«Choćbyście mi na nim
zboże na pniu żęli,
nie zapomni wieś-gęsiarka
kołodzieja Szeli.

«Darzyła się ruń nam,
wystraszył się los tem,
wyszedł w pole, za oborę,
chlusnął z wiadra postem.

«Skończył się nasz zapust.
Dalej, pany, jedziem!
Zwiśnie chłop na szubienicy
popielcowym śledziem.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/slowo-o-jakobie-szeli/>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Jasieński, *Słowo o Jakóbie Szeli*, Paryż 1926.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Jakub Szela, autor nieznany, domena publiczna

ISBN 978-83-288-0321-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.